

Z teatru

Krystyna Gucewicz

Piekło à la Norwid

Cyprian Norwid — Zwolna (monologia), reżyseria Krystyna Skuszanka, scenografia Krzysztof Pankiewicz, muzyka Adam Walaciński, Teatr Narodowy.

KRZYSZTOF Pankiewicz uczynił na scenie narodową rupiecarnię. Tu echo Wawęku, drzwi katedry, tu pomnik Wiwulskiego, ten z Góry Trzykrzyskiej. To znak, że jesteśmy w narodowym piekle i że dźiać się mają rzeczy wielkie. Ale jest ciemno, to znak niechybny, że wszyscy będą poruszać się po omacku. I tak jest w Istocie: ton wysoki, melodia tekstu grana nie dość czysto.

Można by to wszystko, rzecz jasna, powiedzieć bardziej elegancko (i pewnie tak się będzie mówić). Ze oś otwarcie nowego dyrektoriatu Sceny Narodowej, w rocznicę Norwidową, premiera „Zwolona”, niemal odkrycie po 140 latach — to rzecz godna. Prawda. Godna, ale nudna. A w tym miejscu godzi się przypomnieć, że „teatr dla publiczności jest”... I nie wstydzmy się tego mówić.

Nie wstydzmy się też powtarzać tego, co nie jest opinią fatalną, a prawdą wielekroć zweryfikowaną przez polski teatr, przecieł zdolny, przecieł twórczy. Norwid — przynajmniej do dziś — okazuje się autorem ateatralnym. Dlatego właśnie, może przede wszystkim dlatego, poszukiwanie nie odnalezionego kształtu scenicznego dla spójnej koncepcji Norwidowego dramatu jest zajęciem pasjonującym. Nie dziwnego, że sięgnęła do Norwida Skuszanka, zapisała przecieł pomiędzy pierwszymi inscenizatorami polskiej sceny. Próba niezupełnie się powiodła. Z wielu powodów.

Pierwszy i podstawowy, to swoista hermetyczność tekstu. Najpierw dzięki osobliwości jedyne go języka Norwidowego. Potem z powodu licznych aluzji historyzoficznych i skojarzeń literackich. Dalej także — i tego w ogóle nie pamiętają nawet poloniści — z przyczyny powiązań z wydarzeniami politycznymi pierwszej połowy XIX wieku, ale widzianymi raczej oczami hrabiego Henryka z „Nie-boskiej” niż Pankracego. Bliskość tego porównania jest niemała: Krasieński miał w owym czasie przemożny wpływ na niespełna 30-letniego poetę, sterował nim w stronę prawicy, ostrzegał przed rojeńcami „socjalizmu i demokracji”. To wszystko czyni ze „Zwolona” utwór bogaty jak koncert, wieloznaczeniowy i wieloznaczny.

Trudno jednak szukać w „Zwolonie” programu, pozytywnego wskazania czy choćby sądu nad stereotypami polskiego myślenia. Znaleźć można na pewno negację romantycznego zrywu, ironiczny, sarkastyczny komentarz do wzlotów narodowego ducha, wzlotów do nikąd.

Ironia. Tu trudność druga. Jak zagrać ten polifoniczny utwór, aby uchronić ten naczelny ton, tyczący spraw polskich, ale także samego dzieła („Nie jest to więc dramat wcale emigrancki”... — powiada Norwid w Prologu).

Trudność trzecia tkwi w słabości zespołu Teatru Narodowego. I jest to problem najistotniejszy nie tylko dla tej premiery, ale dla kondycji życia teatralnego w ogóle. Scena Narodowa nie może być testem drugiego planu aktorskiego. A tak już prawie jest (poza wyjątkami). Stąd wiele intencji Skuszanek nie mogło być przekazanych, wiele pomysłów zyskało kształt nie nazbyt doskonały. Nie unosi roli sprawiedliwego tułacza Zwolon — młody Tomasz Budyta; jest pusty, płaski i bez wyrazu. Raczej już Jan Frycz, pokazujący się wdzięcznie w obrazie IX, powinien był spróbować sił w tej roli. Powierzenie Prologu i tekstu finałowego Ewie Krasnodębskiej wydaje się także pomysłem dyskusyjnym.

Krystyna Skuszanka nadała swojemu „Zwolonowi” powolne, majestatyczne tempo, narysowała niemało scen wielkiej urody (spisek — echo z Wyspiańskiego). Zadbana nawet o efekty pirotechniczne, które

na romantykach niechybnie wywar-
 lyby duże wrażenie. Na współczes-
 nych większe robi malarskie użycie
 światła, które niewątpliwie budują
 nastrój spektaklu. Psują ten nastrój
 dość skutecznie nieznośne zgrzyty a-
 kustyczne, powstające przy odtwa-
 rzaniu muzyki z taśmy (technicznie
 po amatorsku).

Cóż więc jest z tym „Zwolencem”?
 Zobaczą go chętnie filolodzy, miłoś-
 nicy Norwida, aby pokonać cieka-
 wość tej próby. Próby ambitnej, ale
 nie w pełni potwierdzającej ambicje
 realizatorów.